

Zbigniew Rauch

Moja trudna droga do medycyny

Wadoviana : przegląd historyczno-kulturalny 11, 201-211

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZBIGNIEW RAUCH

MOJA TRUDNA DROGA DO MEDYCYNY

Od redakcji:

Poniżej zamieszczamy wspomnienia Zbigniewa Raucha, lekarza, który przez 52 lata pracował w przychodni w Wadowicach. W czerwcu 2008 minęła pierwsza rocznica jego śmierci.

Był rok 1942. Nadal szalała okupacja hitlerowska. Wraz z całą rodziną baliśmy się, że lada chwila przyjdą Niemcy i każą się nam pakować i wynosić z domu, tak jak wszystkim naszym sąsiadom Polakom, których wysiedlali z ich domostw i gospodarstw. Miałem wtedy 13 lat. Wprawdzie nie mieliśmy żadnego gospodarstwa, no ale przecież byliśmy Polakami. To wystarczyło dla Niemców, żeby nas wypędzić. Tym bardziej, że w naszym najbliższym sąsiedztwie mieszkał volksdeutsch i miał wielką ochotę na zamieszkanie w naszym domu.

Pomimo terroru chciałem bawić się ze swoimi kolegami, jeździć na rowerze i biegać po polach i łąkach jak oni wszyscy. Może wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, co to jest wysiedlenie, a może i zabranie nas do obozu. Podczas kolejnej akcji wysiedleńczej pakowałem do tobołka swoje znaczki, żeby je zabrać i ten największy dla mnie skarb zawsze mieć przy sobie. Wtedy wśród zabaw były modne podchody i chowanie się. Podczas takich zabaw upadłem i stłukłem sobie prawe kolano. Mama mi go umyła i zaopatrzyła jak umiała w nadziei, że się zagoi. Przecież nie pierwszy raz się to zdarzyło i zawsze było dobrze. Tym razem jednak kolano spuchło, zrobiło się czerwone, wystąpiła gorączka, a w miejscu potłuczonym zrobił się ropień.



Teraz więc nie było na co czekać. Trzeba było wezwać lekarza. U nas w Wadowicach wszelkie restrykcje były zaostrzone. Potajemnie przyszedł do nas dr Sołtysik z dawna z nami zaprzyjaźniony. Był Polakiem, dobrym chirurgiem, a z chwilą rozpoczęcia okupacji został usunięty ze stanowiska dyrektora szpitala. Po nim objął kierownictwo szpitala też znany nam sprzed wojny, ale obecnie na usługach niemieckich volksdeutsch.

Dr Sołtysik musiał bardzo uważać, ponieważ nie wolno było polskiemu lekarzowi mieć praktyki prywatnej. Był dobrym Polakiem i dobrym znanym wszystkim chirurgiem. Wieczorem przyszedł niby ze spaceru do naszego domu. Stwierdził u mnie ropień kolana i natychmiast polecił, żeby mama zaprowadziła mnie do szpitala. Skierowania do szpitala nie mógł mi dać. Moja mama mogła tylko poprosić w szpitalu o udzielenie mi pomocy.

Ani mama, ani ja nie chcieliśmy żadnych zabiegów chirurgicznych, a tym bardziej pozostawienia mnie w szpitalu. Wtedy dr Sołtysik kazał w aptece kupić pewne medykamenty i oczekiwać poprawy stanu zdrowia. Wszystko, nawet chorobę trzeba było ukrywać przed Niemcami, ale też przed otaczającymi nas volksdeutschami. Mama codziennie robiła mi opatrunki i gorliwie modliła się do Boga o poprawę w wyglądzie mojego kolana. I rzeczywiście po paru dniach ropień pękł i ropa wylała się. Nie było wówczas żadnych antybiotyków, poza sulfatiazolem, będącym i tak tylko bakteriostatykiem. Na szczęście wyzdrowiałem, a wizyta dr Sołtysika była pierwszym moim poważnym spotkaniem z lekarzem i to takiej klasy.

Dr Sołtysik żył dobrze z ludźmi i był dla wszystkich bardzo uczynny. Bywał na różnych przyjęciach u przyjaciół, lubił się napić kieliszek wódki i z każdym porozmawiać. Po tylu latach wspominam go bardzo serdecznie.

Wracam do mojej choroby. Wszyscy Polacy przecież bali się Niemców. My z całą rodziną szczególnie uważaliśmy, żeby im się nie narazić. Najstarszy brat był już w obozie koncentracyjnym w Gusen za to, że ojciec wzywany często na gestapo, za każdym razem odmawiał podpisania volkslisty. Gestapowiec podczas każdej rozmowy przypominał ojcu o niemieckim pochodzeniu i umiejętnościach wypowiadania się czystym językiem niemieckim. Mój starszy brat Zdzisław, już pracował jako robotnik w IG Farben, dużym zakładzie niemieckim w Andrychowie. Ja za rok miałem kończyć siódmą klasę szkoły powszechnej i tak samo pójść do przymusowej pracy fizycznej. Z tych powodów nie poszedłem do szpitala. Mama przy pomocy medykamentów przepisanych mi przez doktora robiła ze swej strony, co tylko mogła i w końcu wygoiła mi nieszczęsne kolano.

Za rok poszedłem do pracy fizycznej i bardzo ciężko pracowałem przy rozładunku wagonów miału węglowego oraz kując beton w halach fabrycznych.

Może już wtedy, gdzieś w mojej mózgownicy zakiełkowała chęć pójścia na medycynę. Każdy z nas w atmosferze domu przesyconego polskością i nienawiścią do niemieckiego okupanta wierzył w to, że Niemcy wcześniej, czy później sobie pójda od nas, a my będziemy nadal w swoim kraju wolni i nadal będziemy Polakami. W tymże samym polskim domu rodzice mieli do nas wielkie zaufanie i otwarcie mówili o terrorze szalejącym nad naszymi głowami i nie tylko, o wojnie i zawsze bardzo źle o samych Niemcach. Wpajali w nas zawsze patriotyzm. Mój ojciec był doktorem prawa. Porzucił w 1930 r. kancelarię adwokacką w Starym Samborze i przyjechał do Wadowic, żeby na prośbę swojego brata Zdzisława będącego wówczas dyrektorem elektrowni w Sierszy Dolnej zająć się Fabryką Papieru.

W poufnych rozmowach z rodzicami dowiedzieliśmy się o tych, którzy w obawie przed wywiezieniem do Niemiec schronili się w fabryce i nadal działali w podziemiu. W moim domu mówiło się również o innych lekarzach potajemnie leczących Polaków. Panowała wtedy moda na stawianie „baniek ciętych”. Znaczyło to, że stawiało się normalne bańki, a potem się je nacinało. Takie bańki miały najbardziej pomagać w ciężkich zapaleniach płuc innych schorzeniach, gdzie leki mogły nie pomóc. Dotąd jawnie stawiały te bańki doświadczone pielęgniarki, ale teraz dla bezpieczeństwa pacjenta, przy każdym takim zabiegu musiał być obecny lekarz. Leczenie odbywało się w wielkiej tajemnicy przed Niemcami i takimi ludźmi, którzy mogli o tym procederze powiadomić Niemców.

Po zabranii brata do obozu, mama nieustannie płakała i chciała za wszelką cenę wydostać swojego syna z obozu. Była tylko jedna droga, aby wydostać brata z obozu – należało podpisać volkslistę – na co jednak rodzice nie chcieli się zgodzić. Nie dopuszczali tej myśli do siebie. Mama w modlitwach przypominała sobie, że jej brat na długo przed wojną ożenił się z Niemką w Berlinie. Rodzice postanowili do niego zwrócić się o pomoc. Niestety on już dawno nie żył. Jednak list napisany przez moich rodziców do Niemiec, został przyjęty przez tamtą rodzinę. Rodzina ta napisała, że zjawi się u nas teściowa brata mojej mamy, pani Bergowa. W liście podano nam termin jej przyjazdu do Wadowic.

Mój ojciec z ogromnym zaciekawieniem czekał na tę Panią na stacji. Pociąg z Bielska wjechał na peron. Z wagonu wysiadła mała staruszka ubrana na czarno. Na szczęście nie była hitlerowską Niemką i podczas cichych rozmów, tłumaczonych nam przez ojca, narzekała na Hitlera, już wówczas wiele spraw się jej nie podobało, źle oceniała rządzącego Hitlera w Niemczech i na terenach zaanektowanych.

Od pierwszej chwili spotkania z naszą rodziną, postanowiła działać. Nazajutrz poszła na policję i zaraz napisała list do kancelarii Hitlera z prośbą o wypuszczenie mojego brata z obozu koncentracyjnego. Moja rodzina nadal nie podpisała volkslisty, dalej byliśmy Polakami.

Po jakimś czasie pobytu w naszym domu Pani Bergowa wróciła do Niemiec. Być może, dzięki jej interwencji, wkrótce brat wrócił z obozu do domu. Przyjechał bardzo wyniszczony fizycznie, a przede wszystkim cierpiał na owrzodzenie żołądka i dwunastnicy. Musiał od tego czasu bardzo długo leczyć się.

Do naszego domu potajemnie i nieoficjalnie przychodzili polscy lekarze. Podobał mi się ich zawód i oni sami. Po latach mogłem wspominać ich jako poważnych, eleganckich i zawsze statecznych ludzi. W moim domu zawsze dużo mówiło się o pracy lekarzy. Nigdy nikt nie wyrażał się o nich źle, rodzice mieli do lekarzy ogromne zaufanie.

Może też i oni rzucali na mnie urok zawodu, w którym kiedyś chciałyby sam pracować.

Wojna się skończyła. Zostaliśmy z rodzicami wyrzuceni z naszego domu i z pracy, jako przedwojenni burżuje. Ojciec musiał szukać pracy, a mama ciągle chodziła do sąsiadów i prosiła o wynajęcie nam mieszkania. Żyliśmy w nędzy i nie mieliśmy co jeść, za to od pierwszych chwil kosztowaliśmy komunizmu.

Brat, jakby mało było obozu hitlerowskiego, to już w pierwszych godzinach po wkroczeniu wojsk sowieckich został zabrany do Urzędu Bezpieczeństwa na przesłuchanie. Przesłuchiowano go cały dzień, a za rozwieszonym na sznurku prześcieradłem ktoś notował na maszynie do pisania, każde jego słowo. Po co i dlaczego, nikt się nigdy nie dowiedział.

Do lata jeszcze pracowałem, chociaż już nie przymusowo, aby zarobić parę złotych na utrzymanie. Od lata poszedłem do szkoły. Było to gimnazjum. Od kolegi mieniącego się komunistą musieliśmy się przymusowo uczyć komunistycznej piosenki „Bandera rosa”. Tak więc komunizm powoli zawładnął nami. Nauczycielem od przedmiotu „nauka o Polsce współczesnej” był również stale mieniący się komunistą, człowiek wcale nie wykształcony, ale za to bardzo pilnujący wpajania w nas komunizm. Tenże nauczyciel bardzo chciał, żebym nie zdał matury. Podczas odpowiedzi na egzaminie maturalnym nie opacznie mówiąc o klasie robotniczej, powiedziałem „klasa niższa”. Miałem szczęście, że reszta profesorów myślących inaczej niż on, sprzeciwiła się oblaniu mnie z egzaminu i maturę zdałem. Nie miałem powodu zataić tego, że mam zamiar zdawać na medycynę, bo podobał mi się ten zawód. Tak się jednak złożyło, że opisywany nauczyciel był przewodniczącym komisji kwalifikującej uczniów na studia wyższe.

I tym razem miałem szczęście. Ktoś powiedział mi o tym, a on zapowiedział, że ja nigdy nie dostanę się na studia wyższe, a na medycynę – w żadnym wypadku. Koledzy mi o tym donieśli, a ja natychmiast z tego wyciągnąłem odpowiednie wnioski. Muszę wyprowadzić się z Wadowic. Ale jak to zrobić? Brat, na moją prośbę, postarał się o pracę dla mnie w Bielsku, gdzie tak jak po obozie, tak i teraz pracował w tym mieście w jednym ze sklepów z materiałami ubraniowymi. To był pierwszy krok mojego wyjazdu z Wadowic. Kiedy podjąłem pracę w Związkach Zawodowych, natychmiast przemeldowałem się fikcyjnie do Bielska.

Jakkolwiek codziennie dojeżdżałem do pracy, wcale w Wadowicach już nie figurowałem jako obywatel tego miasta. Miałem przepracować jeden rok i potem z nowego miejsca zamieszkania starać się o przyjęcie na studia.

W Bielsku rozpocząłem pracę w Związku Zawodowym Pracowników Chemicznych. Od pierwszej chwili było mi tam bardzo dobrze. Od najstarszego przewodniczącego do gońca wszyscy mówili sobie na ty. A przecież przewodniczący miał o kilkadziesiąt lat więcej ode mnie.

On właśnie całym sercem odniósł się do mojej sprawy. Poinformował mnie, że o ile chcę się starać o przyjęcie na studia, to muszę zapisać się do partii. Ucieszyłem się, jakkolwiek nigdy nie lubiłem komunistów i samego komunizmu, ale skoro miało mi to pomóc w dostaniu się na wymarzone studia, to i owszem. Stałem się członkiem partii komunistycznej. Nikt mnie za to nie potępił w rodzinie. W biurze byłem niemalże gońcem, bo wypisywałem i roznosiłem do zakładów pracy skierowania na wczasy. Wszyscy mnie szanowali, a ja czułem się dobrze w tym środowisku. Pewnego dnia zostałem oddelegowany do Zarządu Głównego Związków Zawodowych Pracowników Chemicznych z siedzibą w Sosnowcu. Tam dopiero pracowali mili i koleżeńscy ludzie.

Dowiedzieli się ode mnie, że mam zamiar pójść na medycynę i przy okazji o tym, że mój brat pracuje w jednym ze sklepów z materiałami ubraniowymi. Jeden z urzędników poprosił mnie o przywiezienie mu materiału na ubranie. Otrzymałem z góry pieniądze i pojechałem do domu. Na drugi dzień okazało się, że materiały akurat podrożały i to dość znacznie. Jednak brat sprzedał mi dobry i ładny materiał po starej cenie. Kiedy za jakiś czas ponownie pojechałem do Sosnowca i zawiozłem ten materiał, podwójnie się zdziwiono. Najpierw dlatego, że nie przepuściłem pieniędzy a potem, że ten materiał kupiłem po starej i tańszej cenie, ale w bardzo dobrym gatunku. To mi jeszcze bardziej otworzyło furtkę do tych dobrych ludzi.

Pewnego dnia w pracy bardzo się zdziwiłem, kiedy oznajmiono mi, że mam wezwanie do samego sekretarza komitetu partii w Bielsku. Poszedłem ze stra-

chem, myśląc, że zostałem zdemaskowany i prawdopodobnie ktoś znowu będzie chciał pokrzyżować moje plany dostania się na medycynę. Trząsałem się cały i nie mogłem w nocy spać.

Sekretarz przywitał mnie bardzo miło i życzliwie. Poprosił, żebym sobie usiadł i coś o sobie opowiedział. Jak usłyszałem te słowa, to zrobiło mi się trochę źle. Okazało się, że sekretarz już o mnie wszystko wiedział. Na wstępie zapytał się, czy mam zamiar pójść na medycynę, bo tak słyszał i chciałby mi w tym pomóc. Nie dopuszczając mnie do słowa, mówił dalej, że może mnie wysłać na studia medyczne do Pragi Czeskiej.

Odmówiłem sekretarzowi, podając argumenty rodzinne i osobiste. Bardzo mu podziękowałem za chęć udzielania mi pomocy. Sekretarz jeszcze mnie namawiał do zmiany mojej decyzji, zastrzegając, że skoro nie mam pieniędzy, to on tak zrobi, że będę bez przeszkód mógł studiować. Powiedział mi, że partia mi pomoże.

Tego już ambicjonalnie nie mogłem ścierpieć i pożegnałem się równie uprzejmie jak zostałem przywitany. Obiecałem sekretarzowi, że jak się zastanowię, to jeszcze do niego przyjdę ale nigdy więcej się z nim nie zobaczyłem.

Kiedy nadszedł czas składania dokumentów o przyjęcie na studia medyczne, wówczas pojechałem do Sosnowca. Poprosiłem moich przyjaciół o przychylną opinię o mojej pracy i o sobie. Za pół godziny miałem w ręce dokument stwierdzający, że jako człowiek i pracownik mam najprzedniejszą u nich opinię, że oni – jako zarząd nie tylko wystawiają mi taką opinię – ale proszą o przyjęcie mnie i wręcz kierują na studia medyczne do Rokitnicy.

Wtenczas akurat natrafiłem na imieniny jednej z pań pracujących w biurze. Zaprosiła mnie na wieczorne przyjęcie imieninowe połączone z zabawą. Pani ta była bardzo ładna, ale ponieważ już od czasów szkolnych miałem swoją dziewczynę, więc oparłem się pokusie zostania na przyjęciu imieninowym i zabawieniu się. Solenizantka chciała zrobić dobrą wódkę dla gości, ale nie mogła dostać nigdzie porteru do tej wódki. Wyszedłem na miasto i w jednej z restauracji uprosiłem i przekupiłem restauratora, który sprzedał mi dwie flaszki porteru. Jeszcze bardziej wyrobiłem sobie dobre oko u niej i wśród pozostałych pracowników.

Najlepiej czułem się w domu. Może właśnie dlatego w 2002 roku obchodziłem 50-lecie małżeństwa ze swoją żoną poznaną już w czasie szkoły maturalnej.

Zdałem egzamin na studia i dostałem się na medycynę do Rokitnicy. W partii musiałem zostać i należałem do podstawowej organizacji partyjnej Uczelni. Wszystko było do zniesienia, bo ja nigdy komunistą nie byłem, bardzo wierzyłem w Boga, a resztę traktowałem jako dopust boży i studiowałem, żeby zostać człowiekiem wykształconym.

W Rokitnicy byli wspaniali profesorowie i koledzy. W pewnym momencie organizacja partyjna postanowiła utworzyć tzw. Brygady lekkiej kawalerii. Polegało to na tym, że we dwóch czy trzech partyjniaków, wpadaliśmy na wykład któregoś z profesorów i kontrolowaliśmy obecność kolegów na zajęciach. Uczestniczyłem w takiej kontroli może dwa, a może trzy razy. Nie mogłem tego znieść. Wstydzilem się profesorów i kolegów. Miałem znów szczęście, że sekretarzem był kolega z grupy, autochton, były Wermachtowiec i mocno partyjny człowiek. W przyszłości został Rektorem Akademii.

Poszedłem do niego i poprosiłem, żeby się na mnie nie gniewał, ale ja już nie mogę dłużej pozostać w partii. Oddałem mu legitymację, a on ją przyjął i nigdy mi żadnej sprawy z tego nie zrobił. Takie były czasy, że mogłem wylecieć z Uczelni pod byle jakim pretekstem. Jasiu był naprawdę dobrym kolegą i zdolnym studentem.

Będąc na ostatnim roku studiów zacząłem kaszleć i ten kaszel przedłużał się w nieskończoność. Nie wiem jak długo bym jeszcze kaszlał, gdyby nie przymuszono nas wszystkich do wykonania obowiązkowego prześwietlenia płuc. Okazało się, że mam gruźlicę prawego płuca i z tego powodu zaczęto mnie leczyć. Ze względu na stan zdrowia zostałem zwolniony z odrobienia ćwiczeń wojskowych, które były zakończeniem studiów medycznych.

Zażywałem PAS i inne leki, ale na szczęście nie musiałem przerywać studiów. Po jakimś czasie już nie było śladu choroby.

Wymarzone studia ukończyłem, otrzymałem dyplom i zaraz poszedłem do pracy, a jeszcze wcześniej pełniłem dyżury w Pogotowiu Ratunkowym w Wadowicach, żeby sobie trochę pomóc finansowo. Był to rok 1957. Z pełnym zapałem zabrałem się do pracy w Przychodni Rejonowej w Wadowicach, a w Szpitalu Miejskim odbywałem staż, po którym chciałem zrobić specjalizację.

Ciężki był początek mojej pracy. Przed południem pracowałem w szpitalu, a po południu w Przychodni Rejonowej do wieczora, po czym wsiadałem do karetki i jeździłem do chorych na wizyty domowe, chyba że wizyta była na miejscu, to chodziłem wtedy na nogach do takiego chorego. Do domu wracałem wieczorem. W tym były jeszcze dyżury w Pogotowiu Ratunkowym, gdzie żona przynosiła mi obiad w menażkach. No, ale cieszyłem się z każdego zarobionego grosza, bo w domu oprócz żony, był już mały synek potrzebujący także wszystkiego.

Doszedłem do wniosku, że muszę sobie kupić jakiś pojazd na prywatne wizyty domowe. Jednak ze względu na skromność środków finansowych i nie spopularyzowanych jeszcze samochodów kupiłem sobie motocykl. Otworzyłem sobie wówczas dodatkowo praktykę prywatną poza domem w Wysokiej. Dojeżdżałem tam

dwa razy w tygodniu. Kierownik Wydziału Zdrowia dowiedział się o tym i posłał mi na kontrolę dwóch lekarzy, gdyż uważał, że to jest coś nielegalnego i przestępczego. Nie robiłem sobie z tego nic, ponieważ tak czy tak płaciłem podatki i czy w domu, czy na Wysokiej, przyjmowałem legalnie pacjentów.

Myslałem, że będąc już lekarzem będę miał wszystkie kłopoty z głowy, że wystarczy tylko dobrze pracować i uczyć się. Pomyliłem się jednak. Dyrektorem szpitala w Wadowicach był doktor Sołtysik, zastąpiony w czasie okupacji volks-deutschem, który mnie potajemnie kiedyś leczył.

Wkrótce do pracy w Szpitalu przyszła pani ginekolog, która objęła stanowisko ordynatora i zastępcy dyrektora. Ona jako pierwsza rozpoczęła walkę z dyrektorem Sołtysikiem. Do tej walki przeciwko dyrektorowi przyłączył się kierownik Wydziału Zdrowia. Chcieli koniecznie zmiany dobrze funkcjonującego dyrektora Sołtysika. Nie wiem dlaczego, nawet lekarz oddziału wewnętrznego, prawdopodobnie z sympatii do kierownika Wydziału Zdrowia i teźże pani doktor, był także przeciwko dyrektorowi Szpitala.

Jedno z wrogów dyrektora, spotkało mnie na rynku i wyjęło z kieszonki marynarki karteczkę z wypisanymi świństwami przeciwko dyrektorowi, z prośbą, żebym mógł w odpowiednim czasie potwierdzić, że tak było. Odmówiłem i odtąd stałem się wrogiem, co się później miało odbić na mnie. Usunięto mnie ze szpitala wyłącznie do pracy w Przychodni.

Nie mogąc, jak na razie, usunąć ze szpitala dyrektora Sołtysika, zaczęto usuwać tych lekarzy, którzy byli przez niego przyjęci i w stosunku do niego lojalni. Pierwszym byłem ja, po mnie poszedł ginekolog i chirurg. Na końcu usunięto samego dyrektora.

Obserwowałem z daleka to kłębowisko zawistnych wrogów dyrektora, którzy później sami między sobą się pogryźli. Ale niestety, doktora Sołtysika już nie było.

Zanim doktor Sołtysik odszedł, w szpitalu miało miejsce zabawne zdarzenie. Przywieziono chłopca z nasadzonym na głowę garnkiem, którego rodzice nie mogli zdjąć dziecku z głowy. Chłopcy bawili się w wojsko i nakładali sobie kolejno garnki na głowę. Garnek zastępował im hełm żołnierski. Matka, która przypro-wadziła go do Szpitala, płakała i mówiła do niego: „widzisz, chciałeś wojsko, masz wojsko, chciałeś czako, masz czako”. To zdarzenie powtarzano jako śmiesznośćkę w całym Szpitalu. Dyrektor Sołtysik obchodząc jak zwykle cały Szpital, wizytował również oddział położniczy. Na łóżku leżała kobieta z bólami porodowymi. Bardzo jęczała. Dyrektor przechodząc koło niej, powiedział: „widzisz, chciałaś wojsko, masz wojsko, chciałaś dziecko, masz dziecko”. Na drugi dzień zjawił się

w gabinecie dyrektora mąż rodzącej z pretensjami, że przecież jego żona nigdy nie płała się w pobliżu koszar, a dziecko jest jego. Wszystko dobrze się skończyło.

Dyrektor odszedł, a złe słuchy o służbie zdrowia rozchodziły się w całym mieście. Nawet w naszym domu mówili o tym moi rodzice. Porównywano czasy przedwojenne, podając za przykład lekarzy tamtych czasów, szanujących się, przykładnych autorytetów, nie awanturujących się między sobą. Moja mama nazwała to „publiczeniem się” swoim zachowaniem skandalicznym, co się teraz działo.

Do szpitala przyszedł nowy dyrektor. Właśnie kończyłem staż i ledwie mogłem uprosić dyrektora, żeby mi pozwolił dyżurować w szpitalu. Niebawem i to się skończyło. Mój ojciec, przyjęty przez dyrektora Sołtysika, jako kancelista także został zwolniony z pracy. Na zasadzie – kto jest przyjacielem mojego wroga jest również moim wrogiem – oczyszczono szpital z przyjaciół doktora Sołtysika.

W międzyczasie za to, że nie mogłem jechać na ćwiczenia wojskowe po ukończeniu studiów, zostałem skierowany na miesięczne ćwiczenia do Przemyśla. Po miesiącu wróciłem do domu jako porucznik rezerwy. Za kilka miesięcy odbyła się uroczystość zorganizowana przez Wojskową Komendę Uzupełnień, podczas której dostałem jeszcze jedną gwiazdkę i stałem się kapitanem rezerwy. Potem jeździłem do Zakopanego na jednodniowe ćwiczenia wojskowe, które odbywały się w Sanatorium „Salamandra”.

W Przychodni pracowałem pilnie i starałem się solidnie wykonywać swoje obowiązki, chociaż były one bardzo ciężkie. Zawsze było kilkudziesięciu chorych, a mało lekarzy, bo wszyscy chcieli się specjalizować i dlatego wybierali pracę w Szpitalu. Do wieczora byłem w przychodni, jeździłem na wizyty domowe do odległych wsi, gdzie mnie dowożono wozami konnymi, traktorami, a często musiałem iść na nogach duży odcinek drogi. Na wsi nie było bowiem Ośrodków Zdrowia.

Pewnego razu doszedłem do wniosku, że jako lekarz potrzebuję samochodu na potrzeby wyjazdów do pacjentów, bo od pierwszej chwili zarejestrowałem praktykę prywatną. Mieszkałem w bloku, w jednym z pokoi przyjmowałem chorych, a żeby coś ponad pensję, zarobić na utrzymanie rodziny. No i właściwie na swoje osobiste i rodzinne potrzeby też musiałem mieć samochód. Wówczas weszły do sprzedaży modne Fiaty 126p tzw. „maluchy”. Zachorowałem na taki samochód. Natychmiastowe nabycie takiego wozu możliwe było tylko za dolary. Nie zastanawiałem się wiele i choć wiedziałem, że nie wolno handlować dolarami, mimo wszystko, od znajomego nabyłem za polskie złotówki potrzebną ilość dolarów i za nie otrzymałem nowego malucha. Jeździłem nim na wizyty domowe do chorych i w wolnych chwilach z rodziną dla przyjemności.

Był piękny, słoneczny dzień. Przyszedłem rano do pracy wypoczęty i zadowolony. Po przyjęciu kilku pacjentów do mojego gabinetu wszedł milicjant w mundurze, w towarzystwie jakiegoś cywila. Zamknęli za sobą drzwi i bez ceregieli zapytali mnie, czy ostatnio kupowałem jakiś samochód. Odparłem, że owszem, kupiłem malucha. Oni na to odpowiedzieli: – „No to pójdzie pan z nami na milicję, jest pan czasowo zatrzymany”.

Przyszedł mi na myśl obrazek z czasów okupacji. Też wtedy była piękna pogoda i choć była okupacja, to przynajmniej ze słońca można się było cieszyć. W drzwiach naszego domu ukazał się niemiecki policjant. Zapytał o brata Karola, poszedł do jego pokoju, stanął rozkroczony w drzwiach i kazał mu się ubierać. Wszyscy stanęliśmy dęba. Mama wiedziała co to znaczy i zaczęła rozpaczać. Zabrano brata do obozu koncentracyjnego.

Poszedłem na milicję. Na miejscu pokazano mi protokoły z doniesienia, że kupowałem dolary. Tłumaczyłem się, że kupiłem tylko tyle dolarów, ile potrzebne mi było na samochód, a nigdy dolarami nie handlowałem. Wszystko spisano, a potem chyba dla terroru, siedziałem w tym biurze do wieczora, nim mnie wypuszczono do domu. Podczas zatrzymania mnie, w towarzystwie kilku ludzi tzn. dwóch milicjantów i ubowca, udaliśmy się do mojego domu, gdzie przeprowadzono rewizję.

Nie musieli robić rewizji, bo ja im sam pokazałem, że mam jeszcze trochę dolarów rodzinnych, które otrzymałem od siostry mieszkającej w Nowej Zelandii, dla ewentualnego zabezpieczenia rodziny. Zabrano mi te dolary, a mnie z powrotem poprowadzono na milicję. Poza strachem, najadłem się wstydu, gdyż moi pacjenci oglądali się za mną, kiedy w towarzystwie milicjantów byłem prowadzony z milicji do domu i z powrotem na milicję. Pacjenci zastanawiali się pewnie, co też takiego zbrodniczego zrobiłem, że jestem nie tylko aresztowany, ale także prowadzony przez kilku milicjantów przez całą drogę.

W następnych dniach otrzymałem wezwanie do prokuratora. Prokuratorzy, znając mnie, zaczęli się śmiać ze mnie. Przecież wiedzieli kim jestem, że nie trudnię się żadnym handlem dolarami, a dolary kupiłem tylko jako środek płatniczy w takiej ilości, aby za nie kupić wymarzony samochód. Prokurator, jakby chcąc załagodzić całą sprawę, oznajmił mi, że jakkolwiek mogliby zabrać mi ten nielegalnie zakupiony samochód, oraz znalezione w domu dolary, to nic nie będą robić. Prokurator, który w jakiś sposób otarł się o mnie w Przychodni, podał mi rękę na pożegnanie i na tym cała sprawa się skończyła.

Pewnego dnia w Przychodni przyszła do mnie sekretarka na dłuższą rozmowę. Wiedziałem, że jest mocno partyjna i jest zaciętą komunistką. Przystąpiła zaraz do

rzeczy. Były to czasy, kiedy nikt nie bronił urządzić imienin zakrapianych w miejscu pracy. Byliśmy nawet na ty.

Zaczęła mnie przekonywać, że jako lekarz stoję jedną nogą u prokuratora, że mogę mieć w dzisiejszych czasach jakieś grube nieprzyjemności, z których partia zawsze mnie wyciągnie, wybawi, a w każdym razie pomoże. Nie mogłem jej odmówić słuszności tego stwierdzenia. Były to nadal czasy komunistyczne, bardzo niespokojne i wrogie ludziom. Terror komunistyczny był bardzo niebezpieczny. Czuliśmy się wszyscy w rodzinie jako klasowo obcy dla nich.

Uległem więc i wpisałem się po raz drugi do partii. Chodziłem na zebrania i poczułem smak rozróbek partyjnych i utracania niewygodnych. Co jakiś czas odbywały się prelekcje, na których mówiono obrzydliwe rzeczy o Bogu, rzucano obrzydliwe kłamstwa na Matkę Boską. Nie mogłem tego słuchać. Wychodziłem z takiego zebrania załamany i nie mogłem się nadziwić jak mogli ludzie o mojej wierze tak bardzo źle mówić. Ludzi tych dotąd uważałem za normalnych, a ja się do ich przekonań wcale nie wtrącałem. W domu byłem wychowywany przez rodziców w wierze katolickiej, w miłości, której sam doświadczałem od nich.

Po raz wtóry oddałem legitymację i więcej nie pokazywałem się na żadnym zebraniu. Powiedziałem sobie, niech się dzieje co chce. Nic złego nikomu nie zrobiłem, pracowałem według wszelkich zasad lekarskich i nikt nie może mi odebrać dyplomu. Dowiedziałem się, że po jakimś czasie odbyło się ponowne zebranie partyjne, na którym wykluczono mnie z szeregów towarzyszy. Od bardzo przyjaznych mi ludzi otrzymywałem telefony z gratulacjami. Mówiono mi, żebym się nie martwił, że to co się ze mną stało wyjdzie mi na zdrowie. I rzeczywiście, nigdy nie byłem karany, ani sądownie ani zawodowo.